Ner 20. Ćwierćrocze od 1go Kwietnia do 1go Lipca. 1863.

Prenumerata wynosi:

w księgarniach Krakowskich
Bez mód:
Rocznie . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » »
Kwartalnie . 1 » 50 » »
Miesięcznie .— » 50 » »
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie. 5 » 10 » »
Kwartalnie. 2 » 55 » »
Miesięcznie — » 85 » »

ROK III.

NIEWIASTA.

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » »
Kwartalnie . 1 » 80 » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » »
Kwartalnie . 2 » 85 » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 30 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

REJ z NAGŁOWIC.

Mówiąc w poprzedzającym Numerze pisma naszego o Języku Ojczystym, wspomnieliśmy o Mikołaju Reju z Nagłowic.

Głównem dziełem tegoż autora jest: *Żywot człowieka poczciwego.*

W pierwszym rozdziale tego pisma mówi autor co następuje: „*Jako i przecz Pan Bóg raczył świat stworzyć i człowieka.* — Bóg wszechmogący, którego „sprawy, sądy, a na wszem dziwne postępki są, ani „rozmierzone, ani żadnym rozumem ogarnione być „mogą, gdy raczył świat stworzyć, to jest: ziemię, „niebo, morza, i inne przypadłości na niebie i na „ziemi, której dziwnej sprawie żadne się oko przypa-„trzyć, ani żadny rozum przydziwować się nie może. „A wszystko to, cokolwiek oczyma swemi widzieć, i „rozumem rozeznać możemy, to stworzyć raczył ku „czci a ku chwale swojej. A przypatrując się tej dzi-„wnej sprawie, co dalej to więcej się o tem zamy-„śławać musimy. A iż na niebie wielką, a rozliczną „a dziwną różność duchów świętych, to jest aniołów „i archaniołów, ku czci a ku służbie swej stworzyć „raczył, nie chciał też tego zaniechać, aby też i z tej „marnej ziemi, tak jako Bogu wszechmogącemu, po-„winna cześć a chwała zawżdy iść nie miała.“ i t. d.

Z porównania dopiero co przytoczonego wstępu z najważniejszego dzieła polskiego autora, urodzonego na Rusi w Żurawnie nad Dniestrem 1515, mówię z porównania języka Mikołaja Reja z dzisiejszym w najlepszych pismach tegoczesnych: zechcą nasze Panie wnieść, że język nasz ojczysty z powodu swojej loiczności jest tak potężnym, że w przeciągu prawie półczwarta sta lat, mało co się zmienił.

Mówimy, że język nasz od półczwarta sta lat mało co się zmienił, i mówimy to słusznie i sprawiedliwie, ponieważ wszystko, cokolwiek Rej z Nagłowic napisał, rozumiemy bez studiów filologicznych i archeologicznych tak dobrze, jak to, co nam napisali Adam Mickiewicz, Bogdan Zaleski, Maurycy Mochnacki... i inni najnowsi nasi autorowie. (C. d. n.)

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

III.

Mgliste obrazy.

(Ciąg dalszy.)

Przemknęła przed oczyma pamięci postać drobna, uśmiechnięta ku niej, z oczami jakby dwa słoneczniki wiecznie ku niej zwróconemi, postać, która gdy się jej raz pojawiła, już jej odstąpić nie chciała—postać to Augusta.

Poznała go równocześnie prawie z Kaziem. Jakiś interes przyprowadził go do starego rzeźbiarza; a gdy ujrzał Madelinę, już oczu od niej oderwać nie mógł, i... jako dawniejszy znajomy obojga rzeźbiarzów, był codziennym niemal gościem. Madelina ledwie nań zważała, chociaż polubiła dosyć jego usłużną potulność, z jaką był na wszystkie jej rozkazy. W tej mierze był niezmordowany. Ledwie Madelina wyrzekła jakie półżyczenie, już August czwałował choćby na drugi koniec miasta.

Mimo usposobienia poważnego i nie wesołego, które w Madelinie wzmogły jeszcze ostatnie rozpamiętywania, musiała się uśmiechnąć, gdy sobie przypomniała, jak często wyprawiała naumyślnie Augusta za jakimś sprawunkiem najkapryśniej wymyślonym, a często niemożliwym zupełnie, aby tymczasem zostać z Kaziem. August leciał najszczęśliwszy, uganiał jak koń stepowy, a gdy przyszedł zmęczony, przestraszony, że niemożliwego sprawunku dostać nie mógł, już był szczęśliwy, jeżeli z uśmiechem na poły litosnym, na poły szyderczym, Madelina pozwoliła mu odpocząć.

Madelina nie byłaby kobietą, gdyby nie poznała od razu, że pan August zakochał się w niej po uszy. Żadna najniewinniejsza dziewczyna za złe tego nie weźmie, bo jużciż to nie występek przecie.

— A że się kocha we mnie choć bez wzajemności, choć ja go nie ośmielam; cóż ja temu winna?.. rozumują w takim razie najmłodsze nawet dziewczęta.

— Odpędzić go bez przyczyny!.. jakież ja mam prawo do tego?.. kiedy mi ani słówka nie powiedział!.. Mamże ja się pierwsza przyznać do tego, do czego on się nie przyznał sam?.. dodaje jeszcze.

— Jak sam zobaczy żem mu niewzajemna... albo się upamięta i sam odstąpi... albo zechce wyznać!.. a natenczas to mu powiem szczerze!.. konkludują wreszcie, i nie bez pewnej przyjemności patrząc na zakochanego młodzieńca, smażącego się żywcem, jakby rak, na wolnym ogniu własnych zapałów.

— Cóż ja temu winna!.. mówiła sobie nieraz Madelina, patrząc w zwierciadło, które odbijając jej cudnie piękne rysy, zdawało się jej jak najmocniej potakiwać.

I po prawdzie niewiele zwracała uwagi na pana Augusta, bo zanadto była Kaziem zajęta. August szczęśliw, jeżeli choć w kąciku cicho mógł siedzieć, od zywał się jak najmniej, by nie zdradzić swej bytności i nie wystawić się na wypędzenie. On tylko wzdychał... biedak wzdychał potężnie!.. I westchnienia przechodziły niepostrzeżone, jakby wiater co sobie tam zaszumi na dworze! A choć i usłyszała kiedy Madelina, to w najzupełniejszej niewinności mówiła do siebie:

— A przecież wzdychać ja nie mam prawa mu zabraniać! a jeżeli... dodała nakoniec z wyrazem szczerej litości:

— Biedny chłopiec!.. w własnem sumieniu czuła się zupełnie niewinną.

Bo sumienie najwyraźniej mówiło:

— Przecież ja mu się nie kazała zakochać!.

Tak to zwykle bywa!..

Póżniej, gdy się jej miłość do Kazia wzmogła w silną namiętność, już nawet ledwie pamiętała o Auguście, ledwie się patrzała na niego, jak się patrzy na znajomy sprzęt domowy. Biedny August kochał, rozpaczał, chudnął, i myśli swe jak najmocniej natężał, by coś wymyślić; lecz jak zwykle w takim razie, nic wymyślić nie mógł, a zanadto miał w sobie bierności by uczynić jaki krok stanowczy. August, jak ludzie jego rodzaju miał tylko energię w rezygnacyi!.. przyroda stworzyła go na męczennika.

Kaziowi August zawadzał, ale w domu rzeźbiarza zanadto mało miał władzy, aby się odezwać ze zdaniem swojem. I zresztą August nie dał mu żadnego powodu do jakiego stanowczego wystąpienia. Lecz gdy po śmierci żony rzeźbiarza, Madelina przeniosła się do własnego pomieszkania, rzeczy przybrały inną zupełnie postać. August zrozumiał położenie swoje, ale nie miał tyle siły nad sobą, by się sam dobrowolnie oddalił...

— Ja nie chcę, by on bywał u ciebie moja Madelino! powtarzał Kazio.

I Madelinie zaczął zawadzać biedny August. Wypędzać go nie śmiała, bo na prawdę żałować go poczynała. Obrała zatem inną drogę; zrobiła Augusta jako przyjaciela powiernikiem swojej miłości.

— Ja kocham Kazia!.. powtarzała mu bezlitośnie. August wzdychał jeszcze zawzięcej, ale nie mógł się oderwać od widoku najdroższej!..

Oboje zaczęli go coraz zimniej przyjmować. Madelina prócz tego jak najgrzeczniej dała mu do zrozumienia, że Kazio czyni jej z tego powodu wyrzuty.

— Ja na to nie pozwolę!. ozwał się August, zebrawszy wszelką energię.

— Panie Auguście!., pan nie masz do tego najmniejszego prawa, odpowiedziała Madelina tak zimno, że biedny August oniemiał, i odtąd coraz rzadziej przychodził, ale za to, choć przez ulicę po pod jej pomieszkanie przechadzał się jako cień błędny...

Kochankowie patrzali na niego z okna i śmiali się. Śmiech ten doszedł nieraz do uszu biednego Augusta, zranił go najokropniej, ale energii nie dodał. Lecz gdy razy kilka służąca w imieniu pani nie przyjęła go, August z rozpaczą w sercu przestał przychodzić zupełnie... Czasem tylko w noc ciemną stawał na ulicy i... jakby posąg jaki oparty o przeciwległą kamienicę, patrzał w oświecone okno Madeliny, rad przynajmniej, gdy się jej cień przemknął.

Po powrocie kapitana, gdy się Madelina przeniosła do dawnej pracowni swojej, pojawił się i August. Tak był smutny i zmieniony, i tyle szczerego okazywał współczucia, że Madelina nie śmiała go źle przyjąć, choć z początku bytność jego była jej nieprzyjemną, bo przypominała ciągle minione na zawsze chwile szczęścia. Kapitan za to przyjmował go jak najlepiej, rozumując nie bez słuszności, że to potulne współczucie Augusta może się przyłożyć do uleczenia Madeliny. I po części nie omylił się. Madelina przyzwyczaiła się do Augusta, i gorące jego współczucie odwzajemniała mu czem mogła — przyjazną przynajmniej uprzejmością.

— Ja ja tak kocham!.. mówił do kapitana, że nie miesiące, ale lata całe czekać będę. Może przecie pojmie siłę mojego przywiązania, i...

— I co?..

— I.. zostanie moją żoną!.. choćby była opuszczona, wzgardzoną od wszystkich!.. ja jej wiernym zostanę, ja ją zawsze kochać będę!..

Kapitan patrzał na niego z pewnem zdunieniem, i sam westchnął mimowolnie...

— Alež ona kocha innego!..

— On nie chce być jej mężem!... a ja czekać będę...

Kapitan zaczął przed Madeliną częściej mówić o Auguście.

— Ja go nie kocham!..

— Dobrym będzie mężem!.. jest urzędnikiem!.. ma przyszłość przed sobą!.. tłumaczył kapitan, tłumiąc westchnienie, co mu się z piersi wyrywało...

— Ja go nigdy kochać nie będę!..

— Dlaczego?..

— Bo raz tylko kochać w życiu można!.. Jeżeli Kazio mnie zdradził, serce moje zamilknie, zkamienieje na zawsze!.. Ale nie!.. on wróci!..

Kazio tymczasem nie wrócił!.. Madelina cierpiała okropnie!.. choć czas, który jest najdzielniejszym lekarzem, goił pomału ranę jej serca. Zasklepiła się krwią świeżą ciekąca rana, ale blizna została!.. blizna boląca *gorzkiej niewiary!..*

I przyszła chwila, w której August wyznał jej miłość swoją, i prosił o rękę...

— Panno Madelino!.. ja cię kocham!. bądź żoną moją!.. błagał ze łzami w oczach...

— Ja pana nie kocham!..

— Przyzwyczaisz się pani do mnie!..

— Ja innego kocham!.. i mego Kazia nigdy kochać nie przestanę...

— Ja cię pani uleczę moją miłością i starannością tak serdeczną!. że pani zapomnisz o nim...

— Nie zapomnę!..

— I pozwolisz się uszczęśliwić!.. kończył August.

— Nie!.. nie!.. panie Auguście!.. to serce już nie żyje!..

— Panno Madelino!.. odżyje!. odżyje jeszcze!..

— Nie!.. nigdy!..

— Ja poczekam!.. pozwól na to przynajmniej, za moją miłość tak prawdziwą i gorącą.

— A więc czekaj pan!.. odpowiedziała Madelina ruszając ramionami.

I August czekał!.. długo i cierpliwie czekał!..

— I to cię nie wzrusza panno Madelino?.. pytał nieraz kapitan.

— Wiesz co kapitanie!.. mówiła na to Madelina z pół uśmiechem. On mnie nudzi!..

— Nudzi?. miłością swoją?..

— Jabym wolała, żeby mnie mniej kochał. Bo widzisz kochany kapitanie, on jest zanadto potulny.

— I to ciebie gniewa?..

— Nawet gniewa czasem!.. on nie ma mezkiej energii. Onby na wszystko przystał, cobym chciała; onby mi się nie śmiał sprzeciwić w niczem!..

— Będzie zatem takim mężem, jakiego właśnie kobiety pragną.

— Kazio był prędki!.. często niesprawiedliwy!.. ale miał silną mezką wolę.

— I porzucił ciebie!.. August by cię nie porzucił nigdy!..

— Wiem o tem!.. i miasto dalszej odpowiedzi zaczęła westchnieniem, a skończyła ziewnieniem.

Westchnienie pomknęło za Kaziem, a ziewnienie przywitało wchodzącego właśnie Augusta.

— Czy panby się nigdy na mnie nie mógł rozgniewać?. pytała go z uśmiechem...

— Pani jesteś nadto dobra!. byś mi dała do tego powód słuszny!..

Drugie ziewnienie było odpowiedzią całą.

— Kapitanie!.. on jest do znudzenia słodki!

— Więc mu powiedz stanowczo, że go nie chcesz.

— Zapewne!.. ale...

— Ale co?..

— Ja ci kochany kapitanie powiem na ucho!.. ale mnie nie zdradź! ja go odpędzić nie mogę...

— Nie rozumiem!..

— Bo on chce być mężem!.. a jużciż za mąż pójść raz trzeba...

— Więc ci wszystko jedno panno Madelino, za kogobyś poszła?.. zapytał kapitan, i wcisnął w nią badające oczy.

— Jeżeli nie za Kazia, to zapewne, że wszystko jedno!. żeby tylko nie był stary!..

Ona to bez myśli powiedziała, i nie spojrzała nawet na twarz kapitana, przez którą w tej chwili przemknął kurcz bolesny.

August powtórzył oświadczenie swoje raz, drugi i dziesiąty.

— Czy już nie dosyć czekałem?.. błagał.. jak umiał, najczulej.

— Za kilka dni odpowiem!.. odrzekła Madelina, bo rzeczywiście nie wiedziała, dla czego ma mu ciągle odmawiać.

— Panie kapitanie!.. przysięgnij mi, że zrobisz to, o co cię prosić będę...

— Wszak wiesz panno Madelino, że wszystko zrobię dla ciebie.

— Postaraj się o to, aby list ten doszedł do Kazia!.. Od jego odpowiedzi zależeć będzie moje dalsze postanowienie.

— Niewiem, gdzie jest teraz; ale dowiem się... i list ten odbierze z pewnością.

List Madeliny był serdeczny, błagający!. Ona w niego całe swe serce włożyła. I prosiła go, by jej stósownie odpowiedział, co ma z sobą zrobić?..

Odpowiedź Kazia była bardzo czuła!.. oświadczeń mnóstwo!.. ale treść ostateczna była:

— Czekaj!. bo ja nie jestem panem mojej woli!.

List ten okropnie uraził Madelinę... ale czekała cierpliwie!.. i Augustowi czekać kazała...

Minął rok jeden i drugi, i trzeci już dobiegał, a Kazio nie wracał. Cóż miała czynić Madelina?..

August po raz setny powtórzył oświadczenie swoje i został wreszcie przyjęty. Narzeczeni zamienili pierścionki. Kapitan był przy zaręczynach milczący i blady, choć miał uśmiech na twarzy.

— Kochany kapitanie!.. mówiła Madelina — jeżeli mi życzysz dobrze... jeżeli mnie kochasz!..

— Jeżeli mnie kochasz!.. powtarzała Madelina nie raz, i słowa te mówiła bezmyślnie, żadnej do nich nie przywiezując wagi, i nie patrząc nawet na kapitana, bo jej nawet na myśl nie przychodziło śledzić, jakie te słowa mogły na nim uczynić wrażenie.

— Jeżeli mnie kochasz! powiedz mi szczerą prawdę!.. ale powiesz?..

— Powiem!..

— Jak mnie kochasz?.. powtarzała bezlitośnie.

— Jak kocham pannę Madelinę!.

— Więc powiedz mi, czy ja... jak mnie znasz... a któż mnie zna lepiej od ciebie?. czy ja będę z Augustem szczęśliwa?..

Kapitan spuścił oczy i milczał...

— Cemuż nie odpowiadasz?..

— Bo szczęścia! są rozmaite rodzaje, i rozmaite o nich wyobrażenia..

— Ale czy będę szczęśliwą takiem szczęściem, jakiem byś sam panie kapitanie chciał być szczęśliwym w mojem położeniu... powiedz szczerze!..

— Nie!. odpowiedział po długim namyśle, i nie bez wahania się.

— Wiem o tem... Ja Augusta nie kocham, i nie mogę go kochać!. on mnie nudzi!.. ja dziś przy nim ziewam... jakby w lat dziesięć po ślubie!..

— I cóż cię przymusza?..

— Trzeba iść za mąż!.. odpowiedziała z pół uśmiechem na twarzy, a bólem głębokim w piersi.

Takie było ostatnie rozpamiętywanie Madeliny przy łożu umierającego kapitana.

(C. d. n.)

URONIONE PIÓRO.

Prując orzeł powietrze swojemi skrzydłami,
Gdy był zajęty światem, wyższemi sferami,
Skrzydło mu pióro jedno nagle uroniło,
Co orliki... mniej bystre, mocno zatrwożyło.

Sowy, gacki, puszczyki już się radowały,
Że orzeł z góry spadnie, będą go szarpały.
Orzeł to czując, silnie unosił się górą —
Siły ducha.. nie zniszczy uronione pióro.

. . . . . . Prój powietrze śmiało
Orle! wyjdziesz zwycięzko, masz ducha nie mało.

T. O. (*Gon. Lw.*)

MARZENIE NA JAWIE.

I.

Dziwnie marzyłem — Ludzkość była w trumnie,
Nad nią się wznosił *duch-* opiekun, dumnie,
Lecz dumę ducha boleść przygaszała
I w jego oku łza litości drżała.
Marzyłem żywo: trumny wszystkich ludzi
Widząc z osobna — każdę po porządku;
Spojrzałem wewnątrz: każdy trup się budzi,
W licu mu snadno dostrzedz życia wątku —

Jakiż to wątek? — gdy go zbierzem razem,
To ujrzym kwiatów najbarwniejszych wieniec
W pączkach, w rozwiciu; wieniec nad ołtarzem
Nadziei;
A... gdy przeglądniem kwiaty do najmniejszych,
To ujrzym zęby jadowite płazu,
Co nam posiekły na wskróś tło obrazu...
I jeszcze świecą... gdy on... znikł — z kolei.

II.

Czyż ja marzyłem? — Widziałem wyraźnie,
Że ziemia była, jak dłoń moja, pusta...
I tylko ludzkie, wycierpiane kaźnie
Sino błyszczały, jak wisielca usta.

III.

Nad tą się ziemią duch-opiekun wznosił,
I widać było... niebios o coś prosił...
I widać było, że go wysłuchały:
Bo jego lica jasnością pałały.
Nagle, szybując niebieskiemi skrzydły,
Roztrącał morza powietrznego fale,
Zdążył ku ziemi: *Kościotrup obrzydły*
Ziemia... ciało i duszę znaszła w ideale.

IV.

Nic, nic nie znaczą granice i prawa:
Granice najdzie wrogów horda krwawa,
Prawo uniemi blask głuchego złota:
A miejsce cnoty zajmuje sromota;
Nic, nic nie znaczą gościńce, kanały,
Żelazna kolej, napowietrzne statki:
Kupce powietrze zawsze sprowadzały,
I truły pokarm ukochanej matki;
Nic, nic nie znaczą najuczeńsze księgi:
One nie uczą dochować przysięgi;
Nic, nic nie znaczą sejmowe narady:
One nie zmniejszą niezgody i zwady.

(*C. d. n.*)

DWÓR SENATORSKI

przy końcu XVIIIgo wieku.

(Wyimek z Ramot starego Detiuka, drukowanych w Wilnie 1861. — Zobacz Nr. 8.)

(*Dokończenie.*)

W Żytomierzu naznaczone było otwarcie gubernii i pierwsze obywatelskie wybory. Ciekawość widzenia

tego uroczystego zebrania, potrzeba obrania mających się opiekować obywatelami i ich majątkami marszałków, stanowiących o ich sprawach sędziów, czuwających nad bezpieczeństwem, oraz nad wewnętrznym, tak gubernii w ogóle, jak i w szczególe każdego powiatu porządkiem, ściągały do Żytomierza magnatów oraz bogatszą i uboższą szlachtę. Wyjechał p. wojewoda, a z nim i mój ojciec, nie jako marszałek dworu wojewodzińskiego — ale jako wybrany od możniejszych obywateli gospodarz wydatków na wystawne obiady i bale w czasie wyborów. Taka bowiem natenczas była zgodna jedność obywatelska, iż wszyscy ciężar kosztów równo ponosić chcieli — że mało było bankietów szczególnych, a ledwie nie wszystkie nosiły nazwę obywatelskich. Baur na te kilka tygodni oddalił się do korpusnej kwatery, ale wyjeżdżając przykazał, ażeby w pałacu na noc zaprowadzono warty dla bezpieczeństwa i spokojności, a pułkownikowi Wernerowi, szanownemu i miłemu staruszkowi, opiekę nad pozostałymi polecił. Nikt z młodzieży bawiącej w Tuczynie nie był na wyborach, zabawy przeto nie ustawały, balów tylko nie było.

Tymczasem wojewodzianki, korzystając z przydłuższej niebytności ojca, ułożyły sobie, na jego imieniny zrobić mu niespodziankę — a, że lubił teatr i nieraz zebrana przyjacielska młodzież komedye mu grywała, postanowiono więc i teraz przedstawić jakąś sztukę, i na ten koniec operetkę (jak dziś zowią wodewil): Kniaźnina *Troiste Wesele* wybrano. Rozpisano role; wojewodzianki, moja matka i ciotka były aktorki. Aktorów nie miały tak udatnych. Wojewodzic Wojciech, Rejentowicze Kor. Wilczyńscy Krzysztof i Jan, guwerner Jana p. Raduski, oraz Baur podjęli się ról męzkich. Ażeby jeszcze skryciej działać i niespodziankiej uweselić ukochanego ojca, wojewodzianki na wszystkie wydatki tego przygotowania ze swoich pensyj pieniądze wyliczały. Ładnaż bo to operetka i ładne w niej stroje krakowskie, a p. wojewodzie tak ulubione. Wszystko się dobrze wiodło, p. wojewoda kilka tygodni w Żytomierzu bawił, a tymczasem zbliżał się ś. Michał, imieniny p. wojewody.

Popowracali do domów obywatele, a sąsiedzi zbierali się z żonami i córkami na 29. września z attencyą do Tuczyna. Wojewoda kazał robić przygotowanie do uroczystości, ale o przygotowaniach do teatru nic nie wiedział. Na parę dni przed 29m, gdy p. wojewoda, zwyczajem swoim, po obiedzie godzinę spoczywał, aktorowie zebrali się na teatr na próbę, ażeby, nim ojciec odpocznie sobie, powtórzyć na miejscach i z muzyką swoje role. Ale nie tak to łatwo idą próby; potrzeba poprawiać, regulować, i że tak powiem — musztrować, ażeby do ładu jakiegoś przyprowadzić. Aktorkom szło jak z płatka, bo już dawniej grywając, znały porządek wchodzenia i wychodzenia, obracania się w potrzebie do widzów lub do współaktorów, użycia głosu i gestów. Ale z aktorami była rzecz inna: gdzie na parter było potrzeba obrócić się do współaktora, oni patrzali i zapominali ról swoich, to znowu odwracali się od widzów, to po scenie przechadzali się niepotrzebnie, lub za kulisy patrzali i rozmawiali. A śpiewyż to! Boże uchowaj! Żaden z kawalerów, mających udział w wodewilu, nie miał wyobrażenia muzyki, i niedziw, bo jeszcze w owym czasie jakaż edukacya? — szkoły, a za szkołami koń i pałasz. Zaledwie wychowani w stolicy lub od wykwintnie wychowanych matek biorący edukacyę talentów jakich nabywali. Zapewnie, że zamiar króla... w upowszechnieniu i wspieraniu talentów, był nader chwalebny i mający na celu wykrycie geniuszów; ale nieszczęściem nauka ujęta była w leszczoty wyrachowanych godzin i tak zwanych klasycznych prawideł, które z trudnością talentowi rozwijać się dawały, często nawet zniechęcały, i... lubiące swobodę poloty geniuszu zupełnie niszczyły. Ludzie niewątpliwie rodzą się z talentami, ale talent i wypracować można; ta tylko będzie różnica, że pierwszy nad siebie wznieść się może i geniusz objawić, drugi.. prawidłami usznurowany, da się najwierniej ująć w przepisane formy, i z nich ani wyżej, ani niżej nie wystąpi. Ale wróćmy do naszego opowiadania. Budziewicz, metr muzyki wojewodzianek, drogo opłacany uczeń Hajdena, ale dzielny nauczyciel, dyrygował orkiestrą, i śpiewu wyuczał aktorów. Kobiety i głosy miały, i ucho dobre, a wojewodzianki i muzykę znały. Ale aktorowie! Ciężko pracował i gorzko cierpiał, nim się udało słuch im otworzyć, a cóż dopiero głos wyprowadzić! Z wielką wprawdzie mozołą dokonał cudu, że wojewodzic i rejentowicze pojęli śpiew, i szło nie źle. Na tej jednak próbie powtórzenia jeszcze były częstsze, bo do przedstawienia mało już dni zostawało, a w sam dzień o próbie i myśleć nie można było; to też aktorowie ani się spostrzegli jak czas uchodził.

Tymczasem p. wojewoda, odpocząwszy, wyszedł na dziedziniec i posłał po mojego ojca dla pomówienia ostatecznie o programie uroczystości, ale ojciec zajęty był łówką ryb na Horyniu. Szedł więc sam wojewoda do ogrodu, poświstując sobie nutę nabożnej pieśni: *U drzwi twoich stoję Panie*, — co oznaczało, że w najlepszym był humorze. Zaledwie kilka kroków za pałac postąpił, uderza go odgłos dobranej muzyki. Słucha, słucha i odgadnąć nie może, zkąd go te harmonijne dźwięki dochodzą. P. wojewoda wielce lubił muzykę, i jak powiadał o sobie, to w młodości na amorce melancholiki wygrywał. Nie żałował też na metrów dla córek, i korzystały z amatorstwa ojca i ślicznie na fortepianie grały. Kiedy tak p. wojewoda przysłuchiwał się i rozpoznawał, zkąd go ten odgłos dochodzi? z tej właśnie strony zbliża się chłopiec ogrodowy: „Gdzie to grają chłopcze?“ — „A w komedyalni jasny panie.“ — „Któż tam gra?“ — „A zwyczajnie wojskowa kapela.“ — „Na cóż oni grają i ko-

mu?" — „Cha, cha, cha! alboż to jasny pan nie wie?"— „Niewiem, niewiem, mój kochany!"— „To ja jasnemu panu powiem: tam panna Teresa, p. Karolina, p. Marszałkowa i panna Sobińska, i panicze, takie tam komedye wyprawiają, aż strach! a p. Budziewicz, to gra, to śpiewa, to na paniczów swarzy, a oni się śmieją, i jam się śmiał, bom tam dopiero przez szparę zaglądał"—i śmiał się chłopiec i poszedł dalej. Roześmiał się i p. wojewoda, a ciekawością zdjęty poszedł ku teatrowi, i pode drzwiami bocznemi dosłyszał część śpiewu i rozmowy, i dowiedział się, że ta reprezentacya dla niego na wiązanie. Łzy się starcowi po licu puściły: „dobre, kochane dzieci" — rzekł z cicha i jeszcze ciszej wrócił do pałacu, nie dając poznać nikomu, że sekret dzieci odkryty. Ojcu tylko mojemu zwierzył się i polecił, ażeby żadnych kosztów nie szczędzić na wystawienie pięknie sztuki, którą dzieci jego ukochane dla niego grają. Mój ojciec nawzajem oświadczył, że jeszcze w Żytomierzu był o tem uwiadomiony, i że kwity p. Teresy, kupcom i rzemieślnikom potrzebnym wydane, w jego ręku już były. Na imieniny ojca i p. Józef pospieszył z Warszawy.

Pałac Tuczyński jeszcze i do połowy nie był skończony, dwa tylko pawilony o piętrze i jedno skrzydło, w którem niewielkie dwa pokoje i ogromna oranżerya, były mieszkalne. Dla niedostatku sposobnej do balów sali, w oranżeryi ułożono posadzkę, ubrano ściany w dębowe girlandy i rzęsiste świeczniki, po kątach zastawiono cytrynami, oleandrami i mirtami, umieszczono porządnie sofy i krzesła, a tam i obiad i tańce odbywać się miały.

Dawniej w wigilię uroczystości, już się goście zjeżdżali, nie tak jak dziś, że w sam dzień imienin około wieczora dopiero się zbierają. Dawniej solenizant, uroczystą był osobą; goście, z uszanowaniem w paradnym stroju, przed południem winszować mu przychodzili, damy nawet o południu poubierane na pokoje się zbierały. Około drugiej siadano do stołu, obiad ciągnął się parę i więcej godzin, poczem wracano do bawialnych pokojów, a po czarnej kawie damy wymykały się dla zmiany stroju na lżejszy ale może jeszcze wykwintniejszy, poważne matrony stroju nie zmieniały. Po wyjściu, damy zostawiały pole szanownym ojcom familii dla uprzejmych wynurzeń, szczerych oświadczeń, od serca życzeń przy gęsto krążących kielichach wiekowego węgrzyna, zapieczętowanych toastem cechy narodowego braterstwa: *kochajmy się!* Tak było i u p. wojewody, a może i weselej, bo rozumna i szczera otwartość, staropolska gościnność i słodycz charakteru gospodarza, wszystkich zobowiązywały i tchnęły we wszystkich ducha jednomyślnej wesołości.

29ty września podobnym szedł trybem. O jedenastej p. Adamowa Walewska, bratowa p. wojewody, i panna Teresa przyjmowały gości. Zabrzęczały karabele naszych szanownych kontuszowych obywateli przy powszystych ukłonach powinszowania, starsi i młodsi fraczkowi modnemi francuskiemi ukłonami szastali. Damy w lewitkach, greczynkach, kabatach z kosztownych materyj, w kornetach, tokach, piórach, axamitach i klejnotach na głowach, poważnem, strojnem ubraniem jeszcze więcej wrażały uszanowania dla swych wspaniałych postaci. Dziewice w furach, tunikach, w zgrabnych karakach i bogatych szpencerach, z powplatanemi w warkocze perłami, koralami, kwiatami, same jak śliczne bukiety wyglądały. Dzień był pięknie pogodny i ciepły, okna pokojów były pootwierane. Damy zasiadły wezgłowia i krzesła, panny zebrały się w przyległym gabinecie, mężczyzn wszędzie pełno było. Starsi, poważniejsi, gromadnie gwarzyli o gospodarstwie, o interesach, o nowości wyborów, tak dogodnych przywilejom szlachty, obierającej z pośród siebie na urzędników mężów godnych czci powszechnej i zaufania; czasem z ciężkiem westchnieniem dała się słyszeć wzmianka, o świeżo i tak smutnie ubiegłej przeszłości!.. Młodzież, naturalnie za pannami ciągnęła, bo dawniej młodzi starali się zabawiać damy, i dla fajek, a co gorsza dla kart, kompanii nie porzucali.

Kiedy tak wszystkich zebranych uprzejmi gospodarze z całą staropolską gościnnością starali się zabawiać, dał się słyszeć od dziedzińca odgłos pełnej wojennej muzyki, i wszedł mój ojciec, oznajmując, że p. brygadyer Baur z całym sztabem prosi solenizanta, aby raczył wyjść dla przyjęcia od wojskowych powinszowania. Cała kompania ruszyła na ganek i otoczyła p. wojewodę. P. Baur, w pełnym mundurze, na czele swojego sztabu oficerów, muzyki pułkowej i pierwszego szwadronu dragonów, podjechał pod ganek salutując szablą solenizanta; muzyka zabrzmiała marsz ceremonialny, p. brygadyer zakomenderował na prawo, a oficerowie i cały szwadron dobytemi pałaszami i hucznem: hura! solenizanta odsalutowali. Wróciwszy przed ganek brygadyer, w kilku słowach wynurzył swoje życzenia, a odpinając od boku jedną szablę (miał ich dwie) — „Nie mogę, rzekł, jw. panie godniejszego nad to zrobić wiązania"— i lekko zeskoczywszy z konia, ucałował rękę p. wojewody i oddał mu broń ofiarowaną. Spojrzał na dar p. wojewoda, łzy mu się puściły po twarzy, poznał i ucałował pałasz kolegi w konfederacyi Barskiej, i uściskiem ojcowskim Baurowi podziękował. Był to pałasz Kazimierza Puławskiego, drogo przez Baura opłacony i bogato oprawny.

Wspaniały obiad długo się przeciągnął, muzyka wojskowa ciągle brzmiała, toasty ogłaszał dźwięk trąb i huk moździerzowych wystrzałów. Po obiedzie, aktorowie cichaczem się wymknęli, damy udały się do swoich pokojów dla zmiany stroju. Jeszcze się nie zmierzchło, kiedy gości zaproszono na teatr. Wybornie udała się operetka, na małe uchybienia nie zwracano

uwagi. Wojewodzianka starsza, i ciotka moja, na swój śpiew piękny otrzymały *fora* i huczne oklaski. Zadowolenie widzów i głosem i klaskaniem jawnie się okazało. P. wojewoda nie posiadał się z radości, którą pomnożyło jeszcze przy zaczęciu sztuki przybycie kuzynów wojewody, jeneralstwa Karwickich, którzy umyślnie pocztą z Warszawy na ten czas pospieszyli. Wesoło wracało towarzystwo z teatru, ogrodem gustownie oświeconym, co było także niespodzianką przez Baura solenizantowi sprawioną. Nim się tańce rozpoczęły, powitano aktorów hucznym toastem. P. wojewoda najczulej im dziękował, a ukochaną Tercię ojcowskiem uściśnieniem pozdrowił; bo też w istocie jej to dla ojca przywiązanie, pierwszą myśl tej niespodzianki natchnęło, a drugich życzliwość do wykonania jej pomogła. Tańce trwały do rana, wieczerza pod gołem niebem mało co tańcom przeszkodziła. Budziewicza, dziękując mu p. wojewoda, piękną złotą tabakierką udarował i nikogo z aktorów piękny upominek nie minął. P. wojewoda każdą zrobioną mu przyjemność umiał ocenić i wywdzięczyć się za nię nie zaniechał.

Nazajutrz wszyscy goście pozostali, bo to był dzień imienin wojewodzica Hieronima, młodego maciejowickiego bohatera, który na pamiątkę skoków swoich przed Ferzenem, w stroju kozackim, ale nowym, bogatym i do talii zrobionym, z siostrą swoją Karoliną popisywał się kozaka i przeszedł samego siebie. Ale i tancerkę też miał niepospolitą! Wojewodzianka do kroków wyuczonych przyłączyła rzadki wdzięk postawy i giestów zachwycających. Przejęci podziwieniem pięknego tańca i rozrzewnieniem, w jak smutnym razie taniec ten stanął wojewodzicowi w przygodzie, ojcowie, obywatele, jedni przed drugimi ubiegali się z najserdeczniejszem uściśnieniem dla Hieronima i zdrowie jego spijali—wojewodzianki zdrowie z białego atłasowego jej trzewiczka spełniano. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że wino nalewano w trzewik; sztuka na tem zależała, ażeby kielich nalany postawiwszy w trzewiku, nie trzymając ręką kielicha, wypić co do kropli, nie zmoczywszy winem trzewika. Zdarzały się czasem takowe myłki, ale i w owych czasach je wyśmiewano, bo rubaszność narodową miarkowało już staranne wychowanie.

Po trzydniowym balu niewiele się osób rozjechało, bo rozpoczęło się polowanie, przenosząc się porządkiem puszcz należących do różnych obywateli sąsiadów, które głęboko w Polesie zachodziły. Ja z ciotką starszą i młodszą siostrą, słabemi na febrę, odjechaliśmy do Korca. W Tuczynie, jesień na polowaniach, zima na uroczystościach i balach szybko i wesoło upłynęły. Na wigilię świąt obchodzono imieniny pana Adama, brata p. wojewody; kamedyjka: *Troiste Wesele* powtórzoną została; niektórych z aktorów zmieniono z wielką pociechą Budziewicza, i ta zmiana wielce była korzystną. Na tym balu pokazała się po raz pierwszy, sławna nasza młodziuchna piękność wołyńska, księżniczka Dorota Sanguszkówna, córka wojewody wołyńskiego. Co tylko natura najszczodrzej wylać mogła na płeć piękną, czem najstaranniejsze wychowanie hojnej naturze dopomódz mogło, to wszystko posiadała księżniczka. W latach ledwie szesnastu, była to wzorowa piękność, najświetniejszemi umysłu i serca przymiotami ubogacona. Równej Dorocie... Wołyń nie posiadał.

Rzecz Artystyczna.

Szkice z Wystawy sztuk pięknych 1863 r. w Krakowie.

Poświęcając kilka kolumn naszego pisma tegorocznej Wystawie sztuk pięknych w Krakowie, musimy najprzód wytłumaczyć się, w jakim to celu robimy, a następnie wykazać powód, dla którego artykuł ten zatytułowaliśmy szkicami. Co do pierwszego tedy, chcąc tym z szanownych Czytelniczek naszych, które nie miały sposobności zwiedzić Wystawy krakowskiej, dać choć ogólne wyobrażenie o niej — postanowiliśmy podnieść tu te naszych polskich artystów utwory, które na powszechną zasłużyły uwagę, i których treść czyli myśl, do tyla jest zajmującą, iż da się w mniej więcej interesujący obrazek czyli szkic *słowa* ująć i tem samem, choć w części opisem naszym uzmysłowić. Co do drugiego zaś punktu, t. j. co do nazwania artykułu tego szkicami, tego użyliśmy dla tego, iż nie chcemy tu i nie mamy potrzeby spisywać ściślej krytyki obrazów, która w innych pismach zapewne będzie ogłoszoną; ale. że tylko po prostu z obrazów robimy obrazki, pędzel chcemy zastąpić słowem, aby także nie pominąć milczeniem tego co piękne, i co na trwalszą pamięć zasługuje. Po takim wstępie przystępujemy do rzeczy, którą rozdzielimy sobie na kilka oddziałków, wedle tego, jak treść przedmiotu, w obrazach wystawionego, wymagać tego po nas będzie.

Trzy najpiękniejsze z całej wystawy obrazy, przedstawiają nam trzy odmienne zupełnie *światy*.. na pozór ale nie odmienne duchem, sercem i natchnieniem. Wszystkie trzy stworzone zostały przez artystów, umiejących czytać w kartach dziejów i życia naszego narodu. Wszystkie trzy są polskie—duszą i sercem, są nasze i drogie nam, i najdroższe od wszystkich innych. Różnica ich polega na różnicy usposobień ich twórców. Trzy te obrazy dadzą się w słowach naszkicować. A chociaż w szkicu tym dużo braknie i ciepła.. i woni, rozlanej po nich obficie — zabieramy się do niego, w celu powyżej wspomnionym.

W staropolskiej szlachetnej komnacie, którę poznasz i po pułapie i po olbrzymim piecu, i po wszystkich

tu i owdzie rozstawionych sprzętach — zebrane towarzystwo zostaje pod wpływem jakiegoś rozkosznego uczucia. Radość i szczęście umalowały wszystkim twarze roskoszą i swobodą — a oko, to zwierciadlane dno duszy człowieka, jaśnieje takim blaskiem i taką pogodą, że usłużna w szczęściu czy zgryzocie łza, koniecznie się ciśnie do niego, aby ogień tego blasku nie spalił całego w niem życia, aby ostudzić gorącość przebijającego się przezeń uczucia. Łza usłużna tym razem dodaje tam tylko jeszcze więcej uroku, jeszcze więcej piękności oczom. — Towarzystwo składa się z siedmiu osób — a wszystkie wesołe, wszystkie pogodne, choć skala uczuć każdego z nich inaczej nastrojona.

Oto najprzód strudzony podróżą i długą tęsknotą, spoczywa w krześle mężczyzna, w sile wieku — wierny obrońca ojczyzny i wiary. Za wiarę z bisurmanem walczył. W nieszczęsną pochwycony niewolę, przetrwał w niej czasu nie mało, nieugięty, i obowiązkom sumienia swego wierny. Modły ukochanej żony i płacz małego pacholęcia... wyżebrały u Boga koniec jego niewoli. Staraniem czcigodnego Trynitarza uwolnionym on został nareszcie, i oto w progi rodzinne powrócił. Szlachetny wybawca nie odstąpił go jeszcze, bo radość i szczęście, jakie wniósł w dom swego wybawionego, jest mu jedyną i najszczerszą nagrodą za trudy — jeniec powrócił, a dom rozradował się cały. I żona, uczciwa a dorodna niewiasta, klękła u nóg jego, by się upoić spragnionym widokiem oblicza najdroższego męża. Na twarzy jej radość i szczęście. Łzy zmieszane z uśmiechem... śmiech mówi o szczęściu, łzy należą do serca niewiasty, ubolewającej jeszcze i teraz nad tem, co biedny jeniec przecierpiał, jakie ponosił trudy, jak się podróżą umęczył... ile bolał, tęskniąc za ojczyzną, za domem.. i za nią... Dziecię porywa ojca za rękę i całuje ją bezustannie... Stateczny zaś ojciec i gospodarz domu, ze szczęśliwym kapłanem o przygodach podróży ciekawie w oddali rozmawia. Do krzesła zaś ciśnie się jeszcze stareńka matka — o mal, że nie płacząca ze szczęścia, a myśląca sobie może, że się jej sny sprawdziły... co do joty... i stary zapewne podstarości, co z zakasanym kontuszem przybiegł także do komnaty, z oznajmieniem o przyrządzonym już dla drogich przybyszów posiłku. I cieszą się wszyscy, szczęśliwi i rozkoszni — i rozkosznym i ucieszonym jest przy nich nawet pies, wierny przyjaciel domu, liżący rękę swego pana. — Oto jest obraz Löflera Leopolda, Polaka artysty bawiącego w Wiedniu, przedstawiający: więźnia wybawionego z niewoli bisurmańskiej przez Trynitarza. Oto jest obraz myśli prawdziwie polskiej, uzupełnionej najdokładniej zastósowanym strojem, i charakterami polskich twarzy. Jeżeliście go choć w części mego opisu poznali, to proszę was teraz, abyście usposobienie wasze zupełnie zmienili, bo wam przedstawię scenę z dawniejszych czasów, scenę, która wam wesołość i szczęście zdmuchnie z twarzy, scenę tem dziwniejszą dla waszego oka, że przyodzianą w suknię błazna, znanego wam z dziejów, z dowcipu i śmiechu.

Oto wyobraźcie sobie komnatę królewską na zamku krakowskim. Przenieście się myślą w te czasy, kiedy na tronie polskim zasiadał Zygmunt I, i kiedy niedobra jego żona, Włoszka *Bona Sforzia* otworzyła wrota intrydze, zdradzie, przekupstwu i piekielnej chytrości. — A kiedy sobie to spomnicie, to ja wam ukażę jedne z komnat dworskich tej królowej, i opiszę scenę, jaka tam w rzeczy samej się przydarzyła. Na dworze Bony bal i biesiada ucieszna. Panowie i damy tańczą weseli i spokojni o los kraju, z którego żyli nie troszcząc się wcale. Oto patrzcie przez odsłoniętą kotarę w pysznie oświeconą komnatę, i przyglądajcie się bogatym dworzanom, co w rozkosznym utonęli puchu — i nie wiedzą jaka tam klęska dotknęła ich nową ojczyznę... Lecz nie! Pozwólcie im się bawić jeszcze.

(C. d. n.)

WW. OO. Trynitarze.

O wieleb. OO. *Trynitarzach* wspomnieliśmy w 16ym Numerze naszego pisma z b. r. Tutaj dajemy o nich cokolwiek dokładniejszą wiadomość:

Zakon tychże wielebnych ojców ustanowion był 1198 r. w Hiszpanii, pod wezwaniem Przenajświętszej Trójcy. Hiszpania wyswobadzała się wówczas, po walkach *Cida Campeadora*, z pod przemocy półksiężyca, walcząc — z mężnymi i umysłowo na znacznej wysokości stojącymi Arabami, którym starożytna grecka literatura nie była obcą — aż po stanowczą bitwę pod Tolosą w r. 1212.

Zakon wieleb. ojców Trynitarzy czynił nietylko zwykłe śluby wedle ustaw ś. Augustyna; lecz nadto zobowiązywał się do zbierania jałmużny na wykupywanie jeńców chrześciańskich z niewoli pogaństwa niewiernego. Od 1201 roku począwszy, były w Hiszpanii już klasztory panieńskie, wedle rzeczonej reguły prowadzące się. Bracia zakonna odziewała się biało i miała niebieski i czerwony krzyż na szkaplerzu i płaszczu. Zakon rozszerzył się po Hiszpanii, Portugalii, Francyi, Italii i po Polsce, ba, nawet po Ameryce i innych zaeuropejskich koloniach. Miał tenże zakon w XVIIIym wieku 300 klasztorów włącznie z temi, w których żyli bosi OO. Trynitarze, ustanowieni w Hiszpanii roku 1636, i.. z dawniejszymi, tegoż samego jenerała nad sobą mający. W tym samym zamiarze, który miał zakon ww. ojców Trynitarzy, ustanowiono w Hiszpanii 1230 r. zakon: Matki Bożej miłosiernej (de merced). Ten zakon był naprzód rycerskim; lecz wnet przemienił się w mniszy, i kwitł we Francyi, we Włoszech, a bardziej jeszcze w Ameryce i we wschodnich Indyach. Wzrósł od 1568 w Hiszpanii klasztorami panieńskiemi przez towarzystwo bosych (nietrzewiczkowych).

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie.